



Stanisław Fudakowski

część II z III

Sygnatura notacji: **N1502**

Data urodzenia: **17.08.1948 r.**

Data nagrania: **15.07.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Marzena Bakowska**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 61 min, część III: 37 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wróćmy do sierpnia '80, bo to co pan mówi, to oczywiście są konsekwencje tego sierpnia. Kiedy nastąpiło pana przejście z tego placu przed stocznia, przed bramą, za bramą i kiedy pan rozpoczął już taki czynny udział w strajku, nie tylko wspierający przed, ale już taki czynny, w środku.

W tych materiałach, które tutaj leżą, a które później pokażę, mam corpus delicti, mam dowód. Moja osobista legitymacja z napisem „Solidarność”, datowana jeszcze przed zatwierdzeniem „Solidarność” w osiemdziesiątym roku w sądzie. Data 4 września osiemdziesiątego roku, z moim nazwiskiem. Uzyskałem ją w pierwszej siedzibie „Solidarność”, 1 września dostaliśmy tę siedzibę od Fiszbacha. Ta ulica się nazywała inaczej wtedy, Marchlewskiego zdaje się, a dzisiaj się nazywa Dmowskiego. No więc mówimy o nazwie dzisiejszej, Dmowskiego 13. I na bramie jest tablica, którą dzisiaj czytałem. „W tym domu Lech Wałęsa uzyskał pierwszą siedzibę »Solidarność«”. Druga siedziba „Solidarność” była w klubie „Ster”, we Wrzeszczu, a później dostaliśmy we Wrzeszczu ten cały budynek. Corpus delicti tu leży. Do sfotografowania.

Jak wyglądało zaangażowanie w tym pierwszym okresie?

No coś fantastycznego. Od razu 1 września, na drugi dzień po zakończeniu strajku trzydziestego pierwszego, pojechałem do Wrzeszcza. Byliśmy tak napaleni, że nie chcieliśmy uronić ani jednej minuty, musieliśmy wejść na falę, na falę nośną, którą był początek zmian. Myśmy już czuli całym sobą, że jest to niepowtarzalna szansa. Albo się wyrwiemy teraz, albo się nie wyrwiemy nigdy. I ludzie już czuli, już wiedzieli, bo to wynikało z rozmów, że tu nie cho-

dzi tylko o związki zawodowe. Związki zawodowe były początkiem, to był chwyt. Musiał być taki chwyt, ponieważ PZPR budowała swoją moc i siłę na, oczywiście, paradygmacie, takim założeniu, że klasa robotnicza jest właśnie tym, tą falą nośną, która ich niesie przez historię i włożyła w jej ręce, tych partyjniaków, tę historyczną rolę zmiany świata. A tu paradygmat się rozsypał w sierpniu, czyli podstawa się zbuntowała. I naturalnie z każdym dniem myśmy coraz więcej widzieli. Cośmy naprzód widzieli: widzieliśmy ludzi, którzy przychodzili z wielką nadzieją, którą obudził Sierpień, a ta nadzieja miała wygląd, na przykład, olbrzymiej kartoteki, którą niósł pod pachą ktokolwiek, a w tej kartotece były zapisane krzywdy. I ja jako przewodniczący czy może szef raczej działu interwencji w regionie gdańskim, już później, jako członek prezydium, no i oczywiście z zawodu psycholog: „Bo ty najlepiej będziesz, Staszku, mógł wyczuć ludzi, z racji zawodu”. Miałem ten maraton, który trwał aż do 13 grudnia i to była moja ostatnia, największa interwencja. Spoglądać tym ludziom w oczy i mówić im, że: „Ja was rozumiem, ale myśmy dopiero powstali, a wy już do nas przychodzicie z tym bólem, a my nie wiemy, co z tym zrobić. My rozumiemy to, ale nie wiemy, co z tym zrobić”. Co mogłem zrobić? I co robiłem?

Jakie to były prośby, wynagrodzenie?

Nie. I co robiłem. Przede wszystkim nie wolno mi było tych ludzi zlekceważyć, czyli musiałem odwarunkowywać to, z czym oni się spotykali na co dzień, dzień po dniu, dzień po dniu przez czterdzieści pięć lat: mamy was za nic, najlepiej żebyście zdechli. Tam były oczywiście wyroki sądowe, tam były oszustwa, tam była podeptana godność. To właśnie podeptana godność stała się fundamentem narodzin „Solidarności”. To była jakby lewa strona „Solidarności”. Zrobię bardzo ważną uwagę. Cwaniacy, potem już, zaczęli to hasło „Solidarność” używać w oderwaniu od człowieka wyłącznie po to, żeby był wózkem do ich interesów. A praktycznie wyglądało to tak, że hasła i flagi „Solidarności” powiewały, ale w oderwaniu od czynienia sprawiedliwości. Solidarność bez czynienia sprawiedliwości jest czystą ideologią. Trzeba czynić sprawiedliwość. Myśmy po to dostali z góry, od Pana Boga to błogosławieństwo w sierpniu, abyśmy mogli mieć siłę czynić sprawiedliwość. A jak to praktycznie wyglądało, to od osiemdziesiątego dziewiątego roku myśmy to przerobili.

Wróćmy jeszcze do tego osiemdziesiątego roku. Między sierpniem osiemdziesiątego, a w zasadzie wrześniem osiemdziesiątego do wprowadzenia stanu wojennego, jak budował pan struktur „Solidarności”?

Bardzo dużo... Dostaliśmy samochód. Ja nie miałem samochodu i nie mam samochodu, i nigdy nie miałem, całe życie jeździłem rowerem i jeżdżę. Natomiast tam dostaliśmy, już po zarejestrowaniu, dostaliśmy telefony, nawet ja te telefony załatwiałem w Urzędzie Telekomunikacji. I dostałem chyba dwa samochody do działu interwencji i jeździłem samochodem na interwencje do zakładów pracy. Te interwencje dotyczyły budowania struktur „Solidarności” w oparciu o akt założycielski. Naturalnie, raz lepiej, raz gorzej, z większym oporem, ponieważ nasze pojawienie się jako struktur „Solidarności” w regionie, powodowało w sposób nieunikniony oczekiwania konfliktu, ponieważ przychodziła jakaś instancja związkowa, nie CRZZ, która jest niezależna i samorządna, i ona chce funkcjonować na zasadach kontroli, no więc żadna władza kontroli nie lubi. No więc oczywiście narastały konflikty, narastał opór, trzeba było interweniować. Czasami trzeba było również uderzyć w swoich. Taką jedną sytuację pamiętam, mianowicie, było to w Gdańsku na ulicy Tkackiej, zakład drzewny – pojechałem tam – że dyrektor krzywdzi człowieka. Słucham

dyrektora, dyrektor mówi: „Proszę pana, tego człowieka zwolniłem z pracy, dlatego była ta interwencja, ponieważ do pracy, mimo upomnień i podpisanej lojalności związanej z zatrudnieniem, przychodził kilka razy pijany, niezdolny do podjęcia zobowiązań, czyli wypełnienia w sposób poważny i odpowiedzialny tego, do czego się zobowiązał”. No i tutaj trzeba było głębokiego namysłu. Przypomniałem sobie króla Salomona ze Starego Testamentu i powiedziałem do tego dyrektora tak: „Wie pan co? Myśmy niedawno powstałi po to, żeby bronić ludzi przed komuną, czyli przed ideologią. Ja wiem, że zatrudnienie jest czymś innym niż ideologia, ale zakłady były ideologizowane, ideologizowane szkoły itd. Ale zrobmy probierz Salomona, dajmy temu człowiekowi szansę jeszcze raz, ostatnią. Proszę zawołać tego człowieka”. Przyszedł. Dyrektor siedzi, ja siedzę, jeszcze ktoś, z BHP chyba czy coś. No i mówię do tego człowieka: „Dajemy panu szansę, jeszcze jedną, ostatnią”. On oczywiście nie protestował, przyznał się do winy, że przychodził po procentach. „I teraz tak: Jeżeli się to zdarzy jeszcze raz, chociaż raz, to już nie będę pana bronił, bo nie będę miał żadnego argumentu. Bo prawo pracy mówi jasno. Zgadza się pan z tym? Proszę tu napisać i proszę się podpisać. I ja się podpisałem, i dyrektor się podpisał. Telefon po dwóch tygodniach: „Niestety musiałem go zwolnić, wytrzymał tydzień”. Ja powiedziałem: „Dziękuję panie dyrektorze, sprawa jest uczciwie i sprawiedliwie załatwiona”. I takich rozmaitych sytuacji było bardzo dużo. Były konflikty, na przykład na linii czysto związkowej, ambicjonalne, związane z chęcią wybicia się na stołek. Wiadomo, jak wygląda psychologia władzy. Tak było na przykład na dzień przed wprowadzeniem stanu wojennego w porcie, w Gdańsku. Załoga dała wotum nieufności przewodniczącemu. Ja byłem mediatorem, poprosili mnie na mediatora jako członka prezydium. I wybrali innego. Stamtąd pojechałem do zarządu regionu. Było już późno. Obradowała Komisja Krajowa w Stoczni Gdańskiej. Szef radiostacji „solidarnościowej”, Zygmunt Błażek powiedział mi: „Wiesz, Staszek? Są jakieś informacje na nasłuchu – bo mieliśmy nasłuch na policję i wojsko – że przemieszczają się jednostki wojskowe na terenie Polski”. Byłem tak zmęczony, bośmy dzień w dzień właściwie tylko lecieli do domu spać i od rana znowu. „Wiesz co? Jak wrócę do chatupy, do Sopotu, to była gdzieś godzina ósma, to o 22.00 można jeszcze do ciebie zadzwonić?”. „Tak”. „No dobra”. Mama mi dała obiad. Jest 22.00, dzwonię do zarządu regionu. Głuchy telefon. Ja mówię: „Mamo, trzeba w poniedziałek dać do telekomunikacji, że nam telefon wysiadł”. Kompletnie nie skojarzyłem nic. „Idę spać”. Poszedłem spać. Rano sąsiad, mój kolega, dzwoni do nas, mama otwiera, ja wychodzę z łóżka, a on taki zdziwiony: „A ty, Staszek, co?”. Ja mówię: „Jak to co? Obudziłeś mnie”. „To ty nic nie wiesz? Stan wojenny”. Ja mówię: „Co?! Stan wojenny?”. „Tak, stan wojenny wprowadzili”. Zaraz przyjechał ten mój przewodniczący, Staszek Gut. Zjedliśmy coś tam, mama przyszykowała, żadnej wódki żeśmy nie pili i do zarządu regionu, do Gdańska. Tam już był kipisz nocny, więc kazałem wszystko co się da jeszcze, wywieźć i pojechałem do stoczni, brama 2. Byłem jednym z pierwszych. Tam zawiązałem komitet strajkowy z tymi, którzy już przybywali, a nie byli internowani. Szablewski, tam inni, inni, inni. No i potem to się toczyło.

Które z postulatów sierpniowych, w tamtym czasie, były dla pana najważniejsze?

Najważniejszym postulatem był jeden postulat: utworzenie niezależnych, samorządnych związków zawodowych. Dlaczego on był najważniejszy? Bo on wreszcie legalizował strukturę, dzięki której ludzie będą mogli zdobyć się na odwagę, przestać być tchórzami, podejmować decyzje i brać za te decyzje osobistą odpowiedzialność. Czyli tylko dzięki temu, że został utworzony Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, mogło się rozpocząć zatrzymanie demoralizacji systemowej ludzi. Wszystko jest nasze, jak głosiła doktryna, a zatem: co będziesz się przejmował? Jeden gwozdek? Jedna decha? Coś tam tego. „Przecież oni żyją za żółtymi firankami, a my musimy

sobie chałupę wybudować. Wprawdzie klocek brzydki, socjalistyczny, ale trzeba jakoś żyć, takie jest życie, panie Staszku". I oni doskonale wiedzieli, że zagrożeniem dla nich jest człowiek wewnętrznie sterowany, czyli taki człowiek, który wewnętrzną siłą, który wie, co to jest wolność. Że wolność wyboru nie jest wolnością. Tylko wybór wolności jest wolnością. I tacy ludzie stali u początku wolnych związków zawodowych, i tacy ludzie nadali bieg polskiej „Solidarności”. Właśnie tacy ludzie mieli tę siłę w sobie. A potem to się wykrystalizowało w stanie wojennym. A potem ci ludzie, z tą opcją, jak pokazuje historia – przejdźmy tylko krótko, dosłownie hasłowo, przez etapy. Rząd Olszewskiego i wygrana Kaczyńskiego Leszka, i katastrofa smoleńska, wreszcie wybory 2015 roku. I te wybory, które są przed nami 28 czerwca 2020 roku. Kolejna stacja, która będzie próbą dla narodu: czy będziemy wegetować jako niewolnicy, dalej, czy pójdziemy dalej w rozwoju, jako ludzie wolni, jako naród polski, który będzie gruntował polskość od tego, czy się komuś to podoba, czy się to komuś nie podoba. Cały czas trwamy w zdawaniu tego egzaminu. I cały czas mamy po drugiej stronie, za naszą sprawą, nierozliczonych ludzi, którzy są gotowi poświęcić Polskę, polskość i ideały „Solidarności” dla swoich własnych ciasnych interesów. A zatem: wojna o Polskę, o polskość, o solidarną wspólnotę Polaków, którzy chcą czynić sprawiedliwość poprzez decyzje, również gospodarcze, również polityczne, ale także wychowawcze, moralne, każde – trwa.

Znowu wróćmy do osiemdziesiątego roku. Mówił pan, że tylko przez dwa tygodnie, w pańskim odczuciu, ta taka kryształiczna solidarność trwała. Kiedy pan poczuł, że właśnie ta kryształiczna solidarność, ten mit... Jest jakieś rozdwojenie w tym ruchu. Kiedy pierwszy raz pan to poczuł?

Pierwsze rozmowy na ten temat odbyłem ze Zdzisławem Złotkowskim w czasie walnego zebrania delegatów. Walne zebranie delegatów było w osiemdziesiątym pierwszym roku. Bo do mojego wyboru na członka prezydium, to jeszcze moje stanowisko w zarządzie regionu wypełniał jeden z sygnatariuszy, Przybylski Józek. I wtedy w czasie tego walnego zjazdu, w czasie przerwy, staliśmy przed Teatrem Muzycznym ze Zdzisławem Złotkowskim i się zastanawialiśmy, czy wejść do prezydium, czy nie wejść, bo już wtedy i ja, i Zdzisław mówiliśmy o tym, o co pani pyta. Mianowicie: w zachowaniu Lecha Wałęsy, przez ten okres od sierpnia do tego walnego zebrania delegatów, gdzieś na wiosnę... Czy to w lipcu było? Nie, chyba gdzieś czerwiec-lipiec. I już zaczęliśmy widzieć jedną cechę: brak spójności, który dawał do myślenia. Między tym, co mówi, a tym, jak postępuje. Najwyraźniej o tym, wtedy właśnie, zaczęła mówić Ania Walentynowicz i na tym tle powstał konflikt między Anią Walentynowicz a Lechem Wałęsą. Ja na plenum, bo dopóki nas nie wybrali, to były plena w postaci spotykających się raz w tygodniu przedstawicieli tworzących się komitetów założycielskich „Solidarności” w zakładach. I one się odbywały w różnych salach, w TNOiK-u, tu w tym itd. Ja na tym plenum zostałem jako jeden z, chyba z jedenastu, wybrany do tej komisji, którą świetnie opisał Cenckiewicz, nazywając zresztą tę komisję moim nazwiskiem i imieniem: „Komisja Rozjemcza Fudakowskiego”, w książce: „Anna Solidarność”. I to był właśnie ten pierwszy moment, który wykorzystywała Służba Bezpieczeństwa, żeby nas podzielić na zwolenników Wałęsy i zwolenników Gwiazdy, „gwiazdozbioru”. I Ania zarzucała Wałęsie to, że on tamie, jako przewodniczący, demokratyczne zasady, któreśmy postanowili realizować, czyli kontakt przywódcy z dołami każdego szczebla i sam, bez konsultacji pewne rzeczy załatwiał. I na tym tle powstał ten konflikt. Ja potem to odczytywałem na plenum, w grudniu osiemdziesiątego roku, kiedy zakończyliśmy to nasze przesłuchanie. Przesłuchiwałem Wałęsę, przesłuchiwałem Anię Walentynowicz, osobiście. I tam byli prawnicy, też była mama Kurskiego, Ania Kurska i Ślęzak, drugi taki prawnik, sędzia, no i jeszcze parę osób było. I w każdym razie myśmy to załatwili tak trochę polubownie w tym

sensie, że zdawaliśmy sobie sprawę, iż ciągnięcie tego konfliktu mogłoby zaważyć na dynamice całości, ponieważ ludzie są słabi, a nie możemy utracić tego rozpędu, który oczywiście można było zniszczyć, a wrogowie już działali, żeby to, żeby puścić na fałszywy tor. I czas pokazał, z perspektywy dnia, kiedy to mówię, że jednak te intuicje się potwierdziły i to co Ania mówiła, się potwierdziło. Natomiast wtedy już była ta krecia robota Służby Bezpieczeństwa, która wykorzystywała słabości ludzkie w różnych kierunkach, nie chcę o tym mówić szczegółowo dla tego wywiadu, ale oczywiście tę wiedzę posiadam. I właśnie wracam do tej rozmowy ze Zdzisławem Złotkowskim. No i skonstatowaliśmy, że jednak musimy wejść, mimo wiedzy, którą już mamy, a która kreśliła już narastający brak spójności, który nas niepokoił. Bo jeżeli byśmy stamtąd wyszli, to mogliby inni przyjść, którzy byłiby jeszcze gorsi. I w miarę, jak zaczął się ten horyzont podnosić, to siedząc w więzieniu, na wiosnę osiemdziesiątego drugiego roku, chyba w styczniu albo w lutym, doszedł do Potulic taki gryps, pamiętam go. I on spowodował potworną adrenalinę wśród siedzących, nas. Mianowicie, w tym grypsie, cytuję z pamięci, było napisane do generała Jaruzelskiego taki wiernopoddańczy tekst, składający się chyba z czterech zdań, a podpisanie znamienne: kapral Lech Wałęsa. I wtedy sobie wszyscy siedzący uświadomili, że zostali zdradzeni przez przywódcę. I teraz, jak mnie pytała jakaś dziennikarka wcześniej, dużo wcześniej, w Telewizji Gdańsk, na żywo: „Czy pan uważa, że Lech Wałęsa był ubekiem, że współpracował?”. Ja mówię: „Nie wiem, nie chciałbym, żeby się tak stało. Niech się tym zajmują historycy i ci, którzy mają dokładną wiedzę, na podstawie oczywiście dowodów”. „A co pan zarzuca Lechowi Wałęsie?”. „Ja zarzucam Lechowi Wałęsie, jako jeden z członków »Solidarności« i jeden z jego ekipy, wtedy, którą wybrał, że opuścił najlepszych swoich żołnierzy, jako przywódca i to jest rzecz, która graniczy ze zdradą”.

Jak to opuszczenie, pańskim zdaniem, się przejawiało?

Opuszczenie polegało na tym, że Wałęsa ani razu się o nas nie upomniał. Po wyjściu naszym z więzienia tylko raz się z nami spotkał, z naszej inicjatywy, jak już przestał być prezydentem. I jak my mu – w TNOiK-u to było, w Gdańsku, ja prowadziłem to zebranie. Zaczął... Zaczęli ludzie – było ich ponad stu – zarzucać, a zwłaszcza więźniowie stanu wojennego, zarzucać, że nas opuścił, że zrobił błędy, że to, że tamto. Że z komunistami poszedł ręką w rękę, Okrągły Stół itd., itd. To bardzo gładko z tego próbował wyjść. „Tak, wszyscy zrobiliśmy błędy”. I on miał właśnie taki sposób rozmawiania z ludźmi, przerzucania odpowiedzialności, co było bardzo charakterystyczne. I poza tym jest jeszcze jedna rzecz: prawdziwy przywódca zawsze robi wszystko, żeby wiązać ludzi z sobą, w dobrej sprawie. Tak robił Józef Piłsudski, tak robił generał Anders, tak robiło wielu dowódców na całym świecie. Tak robił Kościuszko. I Jefferson w Ameryce. Budował wspólnotę, budował siłę. Lech Wałęsa tak nie postępował, Lech Wałęsa robił wszystko, co widzieliśmy na filmie „Plusy dodatnie i plusy ujemne” i „Nocna zmiana” Kurskiego, żeby iść ręką w rękę z tymi, z którymi można coś ugrać. To nie Lech Wałęsa nas, jako przywódca i prezydent udekorował należnymi nam odznaczeniami. Zrobił to Lech Kaczyński.

Chciałabym poprosić pana, żeby pan jako psycholog – tutaj trochę odwołam się do pańskiego zawodu – ocenił Lecha Wałęsę pod względem psychologicznym. Kiedy w nim czy się załamało coś... Dlaczego jak gdyby przestał być takim przywódcą, takim, jakim był w tej krystalicznej „Solidarności”?

Ja powiem pani na ten temat od strony mechanizmu, nie osobowo. Nie będę mówił o Lechu Wałęsie, tylko będę

mówił od strony mechanizmu. Proszę zdać sobie sprawę, to co się stało w sierpniu 1980 roku, to była wielka szansa dla wielu ludzi, którzy na fali sierpnia '80 roku mogli zrobić osobistą karierę. Przez czterdzieści pięć lat takiej szansy nie mieli. Obserwowałem to w czasie I Zjazdu Krajowego, jako psycholog i wyciągałem z tego wnioski. Widziałem to dogadywanie się w czasie I Zjazdu Krajowego, tych konwentykli politycznych, które siedziały naokoło tych ludzi, którzy byli przedstawicielami związku zawodowego „Solidarność” – osiemset ileś przedstawicieli – a naokoło siedziały wszystkie wywiady, wszystkie. Byliśmy pod obstrzałem non stop. I widziałem po wypowiedziach, po zachowaniu, kto do czego zmierza. Czy jest to człowiek, któremu zależy na ludziach, na całości, na sprawie, czy on gra tylko i wyłącznie na siebie. Jeżeli gra na siebie, to wcześniej czy później to wyjdzie. To była nieprawdopodobna huśtawka historyczna: „Solidarność”, sierpień. I człowiek, który był wychowany na jakimś... W małym miasteczku czy na jakiejś wsi, gdzie była bieda od rana do wieczora, gdzie musieli kombinować, jak przeżyć, gdzie było dużo dzieci, gdzie były długi, kredyty. Żeby spłacić, trzeba było często stchórzyć i iść na współpracę. Jak raz zaświeciło duże słońce. Ta sytuacja się już nie powtórzy. I z tej huśtawki skorzystało wielu ludzi, i oczywiście zrobili kariery na krzywdzie ludzi. Dorobili się bardzo szybko pieniędzy, nagród. Lech Wałęsa na przykład dostał trzydzieści parę doktoratów, nagrodę Nobla, którą, tak naprawdę, to myśmy dostali jako związek, a nie on. I za tym szły pieniądze. Czyli raptem, wie pani, Eldorado. Jak pani sądzi, kto przegrywa? Przegrywa duży pieniądz czy przegrywa przyzwoitość i etyka. Oczywiście, że przegrywa drugi człowiek, zawsze wygrywa pieniądz. Jest to probierz tego, co jest w człowieku. Rozumie pani? To jest iskra, to jest łut szczęścia. I potem do tego dochodzi jeszcze zakłamanie usprawiedliwienie, nieustanne usprawiedliwianie swojego postępowania. Jest takie powiedzenie, które bardzo dobrze ilustruje to, o co pani pyta. Jak ktoś się ześwini, po ludzku się ześwini: okaże się słabym człowiekiem, pójdzie za kalkulacją, zdradzi żonę, zdradzi kolegów, zdradzi sprawę, to wie pani, jaki ma dylemat? To jest dylemat ludzkiej świni, a on brzmi tak: jak wyjść z twarzą, zachowując ryj. I największy dylemat takich ludzi polega na tym i dramat, że wprawdzie okazali się cwani, ludzie ich nienawidzą – wystarczy poczytać Internet. Mają dom, kasę, samochody, władzę, pouzależniali ludzi od siebie. Ale wie pani, czego nie mogli za pieniądze kupić? Dwóch rzeczy. Pierwsza, to jest wiarygodność, a druga, biedacy zapomnieli o jednej rzeczy. Myśleli, że wszystko kupią za pieniądze. Wie pani, czego nie kupimy za pieniądze? Upływu czasu. I na tym polega również dramat Lecha Wałęsy, ale nie tylko.

Na tym zjeździe jednak większość jeszcze nie zorientowała się – mówię o tym zjeździe krajowym – i dostał taki poważny mandat zaufania społecznego, wtedy jeszcze.

Proszę panią, byłem tego świadkiem, współprowadziłem I zjazd krajowy. Sytuacja była następująca: Lech Wałęsa grał wysoko i chciał grać wysoko. Byli współkandydaci, między innymi Andrzej Gwiazda, nie będę dalej wymieniał. I Lech Wałęsa przechodzi w wyborach nie tak, jakby marzył, jak oczekiwał, jak by chciał, jak by ego mu podpowiadało. Bo tak się wszystko pięknie zaczęło układać: kaskada sukcesów, fotografie, pieniądze, no w ogóle... Newsy itd. I raptem dostaje od zjazdu najniższą stawkę, przechodzi gdzieś tam, pięćdziesiąt trzy chyba procent, o ile pamiętam. I widzę jego rezygnację, a siedziałem tuż za nim. I podchodzę do niego, jest ta fotografia, w takiej kraciastej, nomen omen, koszuli, zwiastującej to, co się niedługo stanie i przyklękam przed nim. Siedzą obok koledzy, a on: „Ja w takim razie rezygnuję” i jakby rzuca w powietrze ten mandat. I ja ten mandat chwytam w ręce. I mówię do niego: „Czyś ty zwariował? Tu do ciebie ludzie z pielgrzymkami gnają, sam widziałem, jak babki chuścinach, z Podhala, przyjeżdżają z różańcem w ręku, padają przed tobą na twarz i dziękują Bogu, że jesteś przewodniczącym, a ty teraz tylko z tego

powodu, żeś dostał za mało wedle ciebie, bo przeszedł, ale za mało, pragniesz dezertować?”. I wciskam mu ten mandat do ręki, i on go bierze. Sprowadziliśmy go... Jeszcze tam paru kolegów obok się włączyło. Na otrzeźwienie. Ale już wtedy go niosły orły osobistej ambicji i zadufania w sobie. I myśmy to widzieli. I czas pokazał, do dzisiejszego dnia, jak Wałęsa, Lech Wałęsa, na własne życzenie niszczy siebie. I ktoś zapyta: „To wy chcecie wykreślić Lecha Wałęsę z historii Polski?”. Ja mówię: „Nie da się wykreślić, Lech Wałęsa jest postacią historyczną, tylko zdrajcy zapisali się negatywnie i tak będzie funkcjonował”. Tak jak zdrajcy z potopu szwedzkiego itd. Kolaboranci, szmalcownicy z okresu II wojny światowej, którzy donosili. I z okresu PRL-u. My musimy koniecznie rozliczyć komunę. To jest nasze wielkie nieszczęście, że myśmy tego nie zrobili, bo to oznacza, że my będziemy mieli problemy z naszymi dziećmi, bo jesteśmy niewiarygodni. Bo oni, jak my umrzemy, nie będą mieli szacunku dla swoich rodziców. Musimy to zrobić. Nie musimy się mścić, ale nie możemy dawać premii. W Norwegii po II wojnie światowej, kolaboranci z Niemcami hitlerowskimi, Norwegowie, zostali odsunięci na pięćdziesiąt lat od wszelkich stanowisk publicznych, a myśmy dali im premie, ubraliśmy w krawaty, dopuściliśmy do gry demokratycznej. I co mamy? Mamy fasadę demokratyczną, mamy bal maskowy i mamy ogłupionych ludzi. Zobaczymy, jak zdamy egzamin w najbliższym czasie, 28 czerwca 2020 roku. Oby nie w przeciwną stronę.

I to właśnie też pan widział, to antagonizowanie.

Tak, namacalnie widziałem. To znaczy, ja widziałem jakby organoleptycznie, widziałem to oczami, uszami słyszałem itd. Ludzie przychodzili. Człowiek wolny kroczy zupełnie inaczej, głowę inaczej trzyma, mówi inaczej niż człowiek zniewolony. Człowiek zniewolony chodzi przygarbiony, nie patrzy w oczy, miętosi czapkę, jak wchodzi do urzędu. Oczywiście myśmy byli w ten sposób demoralizowani. Ulega łapówkarstwu. No jest po prostu człowiekiem, który rusza nogami, rękami, walczy, chodzi do pracy, ale to nie jest człowiek wolny.

Jeszcze teraz powrócę do roku 1980, ale do pańskiego prywatnego życia. Jak pan wspomina ten okres w swoim życiu, już tak poza tą działalnością solidarnościową, polityczną?

To był najpiękniejszy czas w moim życiu, ponieważ to, co wybuchło w sierpniu, to była olbrzymia inwestycja losu, Pana Boga, osobiście papieża Jana Pawła II, w odbudowę sensu życia u ludzi. Raptem życie zaczęło iskrzyć, ludzie zobaczyli dalej niż na koniec własnego nosa. I gdyby okoliczności były korzystne od strony ludzkiej i od strony politycznej, i gdyby przywódcy i „Solidarności” – ale nie mówię o wszystkich przywódcach, tylko o niektórych, tych decyzyjnych. I gdyby na przykład w takim scenariuszu Jaruzelski stanął po stronie „Solidarności” – możemy sobie taki scenariusz wymyśleć, bo przecież my nie naruszamy tutaj ani żadnej tajemnicy, ani nie łamiemy żadnych reguł logicznego myślenia. Ale gdyby tak było, to sytuacja mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej, zupełnie inaczej. Poszliśmy w układy, a z układów tylko straciliśmy. Straciliśmy finansowo. Ograbiono nas z pieniędzy, wyprzedano majątek. Zniszczono największą wartość w polityce, jaką jest czas, czas jest największą polityczną kategorią – na budowanie lewych układów. Bo nie będziemy odbudowywać Polski. Bo naciskali Niemcy i naciskali Rosjanie, że z Polską mieliśmy zawsze kłopoty, w związku z tym Polska nie może być silna. Polacy muszą mieć sztafaż przed oczami, że jesteśmy wolni, bo chodzimy do marketów i możemy kupować. Że jesteśmy w Unii Europejskiej, no i Unia za nas wszystko załatwi. Że przecież nie musimy wszystkich decyzji związanych z suwerennością sami wykonywać, przecież mogą

to robić ludzie z Brukseli. Czyli zniszczenie naszej podmiotowości. Mamy być w nowy sposób zniewoleni. Czyli zamiast prawdziwej demokracji, dano nam sztafaż demokracji, czyli same hasła.

Jak w takim razie ta droga przekuwania tego zrywu solidarnościowego powinna odbyć się w przemianie, w Polsce. Bo mówi pan: układy, Magdalenka, Okrągły Stół. A czy na przykład była inna możliwość w tym czasie, żeby inaczej się to potoczyło, też bezkrwawo, tak jak „Solidarność” zakładała.

Tak, wielkim sukcesem „Solidarności” było to, że nie doszło do rozlewu krwi. Wielkim sukcesem tych, którzy w stanie wojennym stanęli, było to, że nie doprowadziliśmy na przykład w Gdańsku do rozlewu krwi. To był wynik dojrzałości ludzi i dojrzałości przywódców, którzy wtedy stanęli na czele. Pyta pani o scenariusz, czy tak mogło być. Myślę, że mogło, myślę, że mogło. Ale wie pani co? Historię tworzą ludzie, nie masy, masy nie tworzą żadnej historii. W danym momencie historia przechodzi przez decyzje danego człowieka. Ośmielam się wyrazić własny pogląd na sprawę, mając już swoje lata. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, nie tylko ja, ale wielu ludzi na świecie sobie to uświadamia pod wpływem faktów z życia. Jeżeli ktoś myśli, że w życiu są przypadki, to mam nadzieję, że się myli. A pewność, że nie ma żadnych przypadków, żadnych. I historia przechodzi przez decyzje konkretnych ludzi, którzy w danym momencie są obciążeni ciężką odpowiedzialnością. I albo zdają ten egzamin, albo historia toczy się dalej, ale trzeba więcej zmitrężyć, zapłacić wyższą cenę.

Jaką „Solidarność”, tę „Solidarność”, nie wiem: czy czystą, krystaliczną – jak pan to nazywa – jaką „Solidarność” tego roku 1980 pozostawiamy naszym dzieciom, następnym pokoleniom, które po nas przyjdą.

Proszę panią, odpowiem pani bardzo precyzyjnie, bardzo precyzyjnie pani odpowiem. Mamy szczęście, myślę o moim pokoleniu, żyć w czasach bardzo burzliwych i bardzo znamienych, bardzo bogatych. Po II wojnie światowej było bardzo ciężko wszystkim. Nasi rodzice mieli jeszcze szansę wykształcić ludzi, którzy zaznali normalnych metod wychowawczych. Był niedostatek. Nie było głodu wprawdzie, ale był niedostatek duży. Walka z komuną oznaczała dużą pogardę i uświadomiła ludziom tę największą wartość, której nie można... Od której zaczyna się właściwie całe nieszczęście ludzi. Jak się zacznie deptać godność ludzką w małym wieku, to dziecko rośnie krzywo, małżeństwa się rozpadają, ludzie są nieszczęśliwi. I nasz naród tę drogę przeszedł. Był bity, masakrowany, więziony, a na co dzień upokarzany, wydrwiwany. Jego fundament był niszczone, jego poglądy były ośmieszane, a jego największe świętości były wydrwiwane. I na tym bólu urosła ta, ta wspaniała „Solidarność”, której głównym motorem był papież Jan Paweł II, bez niego ona by nie powstała. I bez naszego bólu. I teraz pani pyta, co my zostawimy młodym ludziom. Odpowiadam pani bardzo precyzyjnie: dotychczas, na dzisiejszy dzień, kiedy z panią rozmawiam, ludzie, mam nadzieję, że większość Polaków, bo część nie przejmuje się polskością, Polską i są gotowi współpracować z każdym, na którym zarobią. Dla nich Polska to jest żerowisko. Ale dla tej części, która myśli po polsku jeszcze, to to są, to będą ludzie, którzy mieli wspaniałe karty w ręku. Nie mieli łatwo. Wielu z nich zapłaciło dużą cenę i wcześniej i później, w czasie pokojowej drogi „Solidarności”, co jest jej sukcesem. I mając te karty w ręku, przy całych kosztach z tym związanych, na ostatnim odcinku, kiedy już mieli wygraną w całości, przegrali tę kartę. I to będzie największa przegrana naszego narodu. I to może się stać 28 czerwca 2020 roku. Musimy poczekać dwa tygodnie i starać się pozyskać dla Polski jak najwięcej ludzi myślących po polsku. Może się uda. Ale jak się nie uda, to będziemy mieli pod górkę.

To jeszcze wróć do pytania. Mówił pan o tej krystalicznej „Solidarności”. Może to zostawimy, to poczucie, że jest możliwa solidarność, taka międzyludzka, taka czysta, krystaliczna, która w imię czegoś, w imię wolności, w imię wspólnego dobra działa. Czy to może?

Taka „Solidarność” już się nigdy nie powtórzy, nigdy. To był dar od Boga. Te dwa tygodnie można przyrównać tylko i wyłącznie do tego, co działo się w Wieczerniku w czasie zstąpienia Ducha Św. w Jerozolimie. Rozumie pani. A myśmy potem zaczęli ten sukces „Solidarności” – nie mówię wszyscy, ale wielu, rozmieniać na grosze, na ambicje, na sukcesy. Rozumie pani? Rzeka życia daje nam wszystkim szansę. Pani daje szansę, mnie daje szansę. Przeciwnikiem solidarności, której doświadczyliśmy w sierpniu osiemdziesiątego roku, przeciwnik jest w nas. Żeby być solidarnym z drugim człowiekiem, muszę podjąć wysiłek przełamywania stale swojego egocentryzmu, czyli grania na siebie, wyłącznie na siebie. W momencie startowym, czyli w sierpniu, te dwa tygodnie, to było jak wyniesienie rakiety kosmicznej na orbitę, a potem na tej orbicie trzeba sterować i jechać. Rozumie pani. To była jak... To było coś takiego jak wybuch supernowej w astronomii. Ale robotę potem: etyczną, moralną, polegającą na zobowiązaniach w stosunku do drugiego człowieka, na wykarczowaniu własnego egoizmu, dzień w dzień – najtrudniejsza robota, jaką znam na świecie. Proszę panią, łupanie kamieni w kamieniołomach to jest, to jest żart. Resetowanie własnego ego to jest taka robota, że większość ludzi się tego nie podejmuje. Myśmy na sierpień patrzyli jako na start rakiety, która nas wyniesie na orbitę dobrostanu i na tej orbicie dobrostanu żeśmy utknęli ku radości naszych wrogów, którzy wszystko zrobili, żebyśmy się zatrzymali na marketach. Bo „Solidarność” to nie jest hasło, to nie są flagi, to jest moja wewnętrzna postawa wtedy, kiedy wypowiadam wojnę omnipotencji własnego ego, że musi być wszystko tak, jak ja chcę. Zawalą się małżeństwa i się zawalają. Zawalają się partie i się zawalają. Stosunki międzyludzkie są po prostu zerowiskiem, jeden drugiego żre, oczywiście zgodnie z prawem, żeby uciec od odpowiedzialności. Po to jest prawo: żeby zgodnie z prawem ukraść, oszkapić, poniżyć drugiego i uzyskać sądowy werdykt, że jest w porządku. Dotykamy kuchni. Nie wyobrażam sobie. Takiego cudu na świecie nie będzie. Człowiek jest wolny wewnętrznie. I strategia Pana Boga polega właśnie na tym, jest prościutka jak dwa, dwa, cztery. Pan Bóg nas stworzył wolnymi, jako szansą i tę szansę żeśmy przegrali w raj, po raz pierwszy. I proszę panią: i przegrywamy. A Pan Bóg ze spokojem i uśmiechem ogląda horyzont zdarzeń. Aż do czasu. I zobaczy, kto, co wybrał. A potem będzie sąd. To jest szansa, tego nie można zadekretować. Solidarności nie można zadekretować, sprawiedliwości nie można zadekretować, prawdy nie można zadekretować. A człowiek co robi? Zamiast wychodzić naprzeciw wezwaniu życia, w którym uczestniczy i maksymalnie dynamizować siebie na dystansie czasu, jaki został mu dany, to robi cały czas tylko jedno: przykrawa albo próbuje przykrawać życie do swoich wyobrażeń o życiu i o drugim człowieku.

[01:01:16 KONIEC NAGRANIA]